

Oscar nie żyje, bo patrzyłem, jak umiera i dałem mu umrzeć. Udusił się sznurami od huśtawki, jak dzieci opisywane w kronice wypadków. Oscar nie był dzieckiem. W wieku siedemnastu lat nie umiera się w taki sposób, jeśli nie jest to zamierzone. Sznur zadzierzgnięty na szyi ma coś udowodnić. A może szukał nowych rozkoszy. W końcu wszyscy tam się znaleźliśmy, żeby zaznać rozkoszy. Tak czy inaczej, ja nic nie zrobiłem. I wszystko inne jest tego konsekwencją.

To był ostatni piątek sierpnia. Późną porą, więc kemping już spał. Tylko nastolatki zostały jeszcze na plaży. Ja też miałem siedemnaście lat. Nie byłem z nimi. Próbowałem zasnąć, lecz ich muzyka mi przeszkadzała. Pokonywała wydmę w towarzystwie salw śmiechu. A kiedy milkła, słyszałem rodziców wiercących się w swoim namiocie. Nie mogłem znaleźć sobie miejsca. Kamienie uwierały mnie pod dmuchanym materacem, piasek lepił się do skóry. Czasem sen nadchodził, ale zaraz potem z plaży docierał do mnie czyjś okrzyk. Była to przestrzeń nieopanowanej, skierowanej przeciwko mnie radości, zbiorowy taniec wokół mojego namiotu. Byłem u kresu sił. Jeszcze tylko jeden dzień i wakacje miały się skończyć.

Tej nocy uznałem, że wolę już wstać i się przejść. Z tej strony panował spokój. Wszystkie namioty i domki zlewały się z sobą w ciemnościach. Tylko automat z przerwatywami nie gaśł. Mówił: „Zabezpiecz się”. A przede wszystkim: „Zrób to”. Każdego wieczoru nastolatki z mieszaniną dumy i zażenowania korzystały z maszyny. Sam zakup dawał uczucie, jakby niemal się to zrobiło. Przerwatywy często kończyły jako balony i pękały w powietrzu niczym nerw w głębi serca. Znałem ten kemping jak własną kieszeń. Od dwóch tygodni, żeby zabić czas, nieustannie przemierzałem alejki i krążyłem po polu namiotowym. Brałem udział we wszystkich wieczornych imprezach. Robiłem, co mogłem. I za każdy razem zmywałem się po wypiciu kilku szklaneczek, udawałem, że idę po kolejną, tylko po to, by brzegiem morza niezauważenie wrócić do namiotu. Ale prawie nie sypiałem. Muzyka nie ustawała. Coś stale czuwało w mojej piersi i do świtu nie pozwalało mi się odprężyć.

Ostatniej nocy, podczas takiego właśnie włączenia się po kempingu, wpadłem na Oscara. Mijałem plac zabaw i zobaczyłem go na huśtawce. Był pijany. Sznury miał owinięte wokół szyi. Najpierw zacząłem się zastanawiać, co też on tam robi. Wcześniej widziałem, jak z pozostałymi tańczy na plaży. Całował Luce, a ja o mało się porzygałem, przypomniałem sobie ich niemal nagie ciała odcinające się od czerni nocy. Mimo to obserwowałem go teraz samotnego na huśtawce i rozumiałem, że umiera. Sznury zaciskały się powoli. Zrobił to bez niczyjej pomocy i być może, wskazywał na to wyraz jego twarzy, właśnie zmienił zdanie. Ale ja się nie ruszyłem. Na ustronnym placu zabaw panował bezruch. Sosny wznosiły się wysoko i przesłaniały księżyc. Nagle Oscar mnie zobaczył: spojrzał na mnie i już nie odwrócił wzroku. Otworzył usta, ale

nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Poruszył nogami, ciało nie poszło jednak w ich ślady. I tak na siebie patrzyliśmy. To prawda, że czasem życzyłem mu śmierci, kiedy widziałem go uśmiechniętego w tych jego błękitnych kąpielówkach. Po drugiej stronie wydmy nadal rozbrzmiewała muzyka, rozpoznałem refren: *Blow a kiss, fire a gun... We need someone to lean on...* To trwało. Śmierć przez powieszenie długo nadchodzi. W ostatniej chwili wyprężył się, a ja uciekłem. Po prostu czułem się coraz bardziej samotny. W pewnym momencie jego głowa opadła do przodu, co musiało wprowadzić w ruch sznury, które wcześniej skrzyły się w przeciwną stronę, a teraz zaczęły coraz szybciej się rozplątywać i w końcu go puściły. Upadł jak łachman na elastyczną powierzchnię placu.

Jako siedemnastolatek miałem na koncie niewiele głupstw. To tu było trudne do pojęcia. Wydarzyło się za szybko i za gwałtownie. Podszedłem. Dotknąłem ramienia Oscara, potem nim potrząsałem i go uderzyłem. Jego martwe spojrzenie przesliznęło się po mnie, kiedy go odwróciłem. Chciałem pomyśleć, ale z plaży dobiegły mnie głosy. Jakaś grupka szła spać. Mówili głośno i też byli pijani. Pomyślałem, że może mnie usłyszą. Zawołałem do nich, ale mojego głosu nie poniosło daleko, został przy mnie. Oddalili się ze śmiechem. „Zamknijcie się!” – krzyknął ktoś z namiotu. Zniknęli. Muzyka na plaży też ucichła. Mijali mnie ostatni imprezowicze. Stałem długo na placu, nie chowałem się. W końcu zostałem całkowicie sam z Oscarem, który nadal leżał martwy u moich stóp.

Przyszła mi do głowy brutalna myśl, że to ja go zabiłem, i przegoniła wszystkie inne. Nie istniało już nic poza tym bezwładnym ciałem. A potem całkiem wyraźnie przypomniałem sobie olbrzymi dół, który dzieci tego popołudnia wykopały na wydmy. Wydało mi się oczywiste, że Oscar musi zniknąć. Nie

zastanawiałem się dłużej. Być może czułem, że to jest prawdziwe głupstwo, ale popełniłem je, żeby zrobić cokolwiek. Złapałem go za nogi. Nie był ciężki. Zacząłem ciągnąć. Posuwaliśmy się powoli naprzód, najpierw przez plac zabaw, potem po żwirze alejki, po trawie parceli niezajętych przez namioty, po cienkiej warstwie piasku. W zależności od powierzchni ciało wydawało różne odgłosy. Skupiłem się na swoich ruchach, żeby nie myśleć o niczym innym, nie wiedzieć, co to wszystko znaczy. Ciągnąłem jakieś ciało, po prostu. Dotarłszy do wydmy, zrobiłem sobie krótką przerwę. Panował spokój. Oscar był taki spokojny. Powietrze było świeższe, niemal przyjemne. To musiał być sam środek nocy. Wspinaliśmy się teraz jeszcze wolniej, grzęźliśmy w piasku, zaczepiliśmy się o osty. Wielu już się o nie poraniło, biegając boso. W końcu pojawiła się plaża. Była całkowicie wyludniona, usiana śmieciami, które jutro będzie trzeba zagrabić. Pomyślałem, że mógłbym zostawić Oscara w wodzie, żeby zabrały go cofające się fale. Ale poziom wody był za niski. Od morza dzielił mnie szmat drogi, a już miałem zadyszkę. Zdecydowałem, że potrzebny jest dół. Zostawiłem Oscara, poszedłem wydumą i bez trudu go znalazłem obok flagi ratownika. Okazał się za mały. Ukucnąłem i poszerzyłem go do rozmiarów nastolatka. Nie lubiłem dotykać piachu, który wchodził mi pod paznokcie i ocierał skórę, ale tym razem bez oporów zabrałem się do kopania. Kiedy uznałem, że dół jest wystarczająco duży, wróciłem po Oscara. Zaciągnąłem go do jamy i ułożyłem na boku, z podkurczonymi nogami. Twarz miał brudną i pokrytą piachem. Oczyszcziłem ją opuszkami palców. Potem zasypałem dół z jego ciałem. Zajęło mi to dużo czasu. Nie myślałem o niczym. Słuchałem własnego oddechu i szumu fal.

W końcu dół był już tylko piachem, a Oscar pod ziemią mniej mi ciążył. A nawet jakby trochę zniknął. Wstałem i spojrzałem na bezchmurne niebo. Nagle rozległa się cicha melodyjka. Zrozumiałem, że dźwięk dochodzi spod piachu. Ukląkłem i zacząłem kopać, niwecząc całą swoją robotę. Dobrze go zakopałem. Melodia nie ustawała. W końcu dotarłem do Oscara – w jego kąpielówkach dzwoniła komórka: „Dzwoni Luce”. Wyłączyłem telefon i włożyłem go do kieszeni. Nikt niczego nie słyszał. Wszyscy byli daleko. Odzyskałem dech i zakopałem dół, równie dokładnie jak za pierwszym razem.

Musiło być już bardzo późno. Byłem sam i wszystko wydawało się na swoim miejscu. Na plaży i kempingu panował spokój, podobnie jak na wydmie i pod gwiazdami. Chciałem dalej działać. Na czworakach, jak pies, wróciłem tą samą drogą, żeby zatrzeć ślady. Kiedy to zrobiłem, bałem się wrócić do namiotu. Myślałem o śpiących rodzicach oraz uspionych siostrze i bracie. Wszystkie imprezy się skończyły. Postanowiłem przejść się po plaży. Szedłem brzegiem morza z nogami w wodzie. Odpływ odsłonił skały, których nigdy wcześniej nie widziałem. Czułem jak po wysiłku moje ciało stopniowo staje się znużone i rozbite. Próbowałem pomyśleć o tym, co zrobiłem, ale niewiele czułem. Oczy mi się zamykały. Chwiejnym krokiem podszedłem do morza. Zbliżał się świt.

Wróciłem na pole namiotowe. Po drodze spotkałem biegacza, który wstał wcześniej i szedł do lasu. Odnalazłem swój namiot i zasnąłem w ubraniu. Cekał mnie ostatni dzień wakacji, najgorętszy – najbardziej upalny, jaki znał ten region od siedemnastu lat. Uprzedzono nas o tym. Zostało to ogłoszone przez przymocowane do sosen – tuż nad moim namiotem – głośniki, które co rano mnie budziły.

*

„Witam, witam w ten piękny dzionek! Tu wasz różowy królik! I już mamy sobotę! Wielu z was opuszcza nas w ten weekend, korzystajcie więc z ostatniego dnia, bawcie się dobrze i bądźcie pogodni! Ze mną się widzicie za pół godziny na aquaerobiku!”

Byłem wściekły od momentu otwarcia oczu. O ósmej rano w namiotach panował już nieznosny skwar. Słońce waliło w płótno, by zmusić nas do wyjścia i skuteczniej pognać na zewnątrz. Ale kempingowicze wyglądali na zadowolonych. Czasem wprawdzie się skarżyli, padali na twarz ze zmęczenia, skóra schodziła im całymi płatami, a mimo to byli zadowoleni, trwali w przekonaniu, że lato jest najlepszą porą roku.

Nagle wszystko się zmieniło. Moje ciało się napięło i przed oczami stanął mi Oscar, plac zabaw, dół. Pozostałem w bezruchu ze wzrokiem utkwionym w jakiejś plamie na dachu namiotu. Próbowałem sobie wyobrazić wydmę za dnia, spacerowiczów, śmiechy i ludzi puszczających latawce. Na zewnątrz nie słyszałem nikogo. Moja rodzina zabrała psa i pojechała do Dax, mieli wrócić dopiero na obiad. Teraz sobie o tym przypomniałem. Byłem sam. To był mój szczęśliwy poranek: mogłem

spać do południa, zyskać połowę dnia, nie narażając się na to, że rodzice będą mnie zmuszali, abym z niego korzystał. A mimo to wstałem. Zrobiłem kilka kroków po naszej parceli. Na stole rodzice zostawili dla mnie płatki śniadaniowe. Nasze kolorowe ręczniki wisiały na lince rozpiętej przez ojca między dwiema sosnami. Wystarczyło kilka sekund, żeby wyschły. I po co było je rozwieszać? Opuściłem pole namiotowe. Minąłem pierwszy żywopłot i ruszyłem biegiem prosto na wydmę.

Kemping się budził, maszynę ponownie wprawiano w ruch. Z namiotów zaczęły wyłaniać się głowy. Dzieci wybiegały na zalane słońcem alejki, a matki je łapały, żeby nałożyć na nie krem i zapobiec poparzeniom. Stali bywalcy, jak w każdy wakacyjny poranek, odnajdowali się na przecięciu ścieżek i bez słowa szli w stronę boiska do gry w bule. Fala kempingowiczów ruszyła na plażę. To było znane w całych Landach pole namiotowe. Trzygwiazdkowe, w samym środku sosnowego lasu, nad oceanem. Baseny ze zjeżdżalnicami, plac zabaw, ekran do karaoke, klub fitness i wieczorki tematyczne. Dużo nastolatków przyjeżdżało tu imprezować, a poza tym liczne rodziny, stare małżeństwa z Holandii, obozy surfingowe, no i pozwalano przyjeżdżać z psami.

Wdrapałem się na wydmę. Piach palił mnie w stopy, nie udało mi się znaleźć moich japoniek, musiałem je zgubić zeszłej nocy... Próbowałem sobie przypomnieć. W dzień, wśród śmiechów, było to zupełnie inne miejsce. Zbyt poranne, zbyt wakacyjne, by ktoś mógł nie żyć. Kiedy nie widziałem dołu, nie istniał. Ale szybko go odnalazłem i w tym samym momencie ponownie ujrzałem siebie, jak ciągnę, kopię, grzebię, odkopuję, niczym cień pomiędzy kempingowiczami idącymi na plażę. Tam, pośrodku wydmy, znajdował się zasypany dół z Oscarem – wyłącznie dla mnie było to zasypany dół, bo dla

innych był to tylko piasek, jeden z zasypanych piaskiem dołów pośród wszystkich innych wykopanych w majestatycznej wydmy, dumie kempingu. Obok, niczym punkt orientacyjny, wznosiła się flaga ratownika. Dzieci biegały po Oscarze, chodziły po nim, deptały.

Początkowo spanikowałem. Krążyłem wokół dołu. Jak pies wpatrywałem się w nadchodzących ludzi, a oni patrzyli na mnie jak na wariata. Miałem wrażenie, że od dziewiątej leje się skwar z jasnego nieba. A przecież nie paliło aż tak bardzo. Wyjście w południe byłoby nie do zniesienia. O tej porze wszystko zaczynało się gotować. Uspokoilem się. Zmusiłem do myślenia. Oscar udusił się sznurami od huśtawki i nie żył. Trzeba było o tym komuś powiedzieć. To był wypadek. Trzeba było wezwać żandarmerię albo karetkę. Nie mogłem sobie przypomnieć numerów. Byłem zmęczony. Nic już nie czułem. Chciało mi się spać. A potem poczułem coś, co przywróciło mi świadomość własnego ciała: lekki nacisk na udo, mały prostokąt w kieszeni moich kąpielówek. To była komórka Oscara. Przypomniałem sobie melodyjkę, która rozbrzmiała w nocy. Wyjąłem telefon. W czarnym wyświetlaczu zobaczyłem swoje odbicie: byłem brudny, z przetłuszczonymi włosami, oczami opuchniętymi od łez, które nie płynęły, bo jeszcze nie rozumiałem, bo ciągle byłem jeszcze Léonardem, nieśmiałym i grzecznym chłopcem, który nie lubił upału i wołał pochmurne dni.

Na wydmy przyszedł Louis i poklepał mnie po plecach. Uśmiechnąłem się do niego, z przyzwyczajenia do bycia miłym, pierwszy uśmiech tego dnia, ze wszystkich sił zmusiłem kąćki warg, żeby się uniosły.

– Cześć Léo! Idziesz się kąpać? Jedna dziewczyna do mnie dołączy. Ale ona ma tyłek... Co za tyłek...